Rok IV 11 września 1932 Nr. 37

DZWONECZEK

Dla biednych dzieci.

Ieszcze nigdy nie było tyle biednych i tyle głodnych dzieci. Wasze serduszka współczują z niemi, ale czesto załamiecie tylko raczki:

— Cóż im możemy pomóc?

— O i owszem — odpowiem. — Niejedno z was może i powinno, mając wszystkiego zbytek lub dość, podzielić się z biednym kolegą czy głodującą koleżanką.

Znam szkołę, gdzie dzieci zamożnych rodziców przynosiły takie samo śniadanie, jakie dla siebie, dla cierpiących głód koleżanek. Dzieci średnio zamożnych rodziców dzielą się tem, co przynoszą ze sobą, A Bóg wszystko to im liczy! Oczywiście nie mogą tego czynić bez wiedzy rodziców, ale jakże to pięknie o nich świadczy; jak uraduje serce kochających rodziców, gdy zauważą, że ich dzieci nie są samolubami, ale już w tak młodym wieku starają się ulżyć biednym i nieszczęśliwym.

Ale już najlepszy sposób wykonują te dzieci, które wybrawszy sobie ubogiego kolegę lub koleżankę, odwiedzają ich stale i wspomagają stale w sposób, w jaki im dobre serduszko dyktuje.



Poczet sztandarowy Krucjaty Euch. uczniów szkoły powsz. w Zakopanem z ks. Dyrektorem w środku.

Jak Cię nie kochać?

Jak Cię nie kochać, o Wszechmocny Boże,
Za Twoje dla mnie udzielone dary.
Lecz kochać szczerzej me serce nie może,
A Tyś jest godzien miłości bez miary.

Jak Cię nie kochać za życie mi dane,
Za ojca, matkę i rodzinę cała
I za promienie słoneczka świetlane,
Lecz mnie się zdaje, że Cię kocham mało.

Za to, żeś na śmierć, Panie, wydał Siebie
I na ołtarzu Ciało leży Twoje,
Za to, że dajesz spożywać się w Chlebie —
O, jak nie kochać ma Cię serce moje?

Wł. Urbanowski.

Jak Loluś zorganizował...

(Zdarzenie prawdziwe — ciąg dalszy).

Stasiątka korciło, co to może znaczyć »K«, zapisane w katalogu.

Pewnie kociątko — śmiał się Moja Maluczkość, który w ten sposób często tytułował »swoje dzieci«.

Ale Stasiątko nie wierzył, zatem mu wyjaśnił:

— »K« oznacza, że ktoś z domu był na wywiadówce, czyli konferencji z rodzicami.

O tak! Dobrze się czuł Moja Maluczkość w gronie tych dziatek i łączyła ich wzajemna miłość.

Aż raz pod koniec już roku powstał wielki plan — założenia Kółka ministrantów. A było to tak.

Przyszło ich naraz coś pięciu: Józek, Stefek, Staś, Badesiu i Stasiątko. Loluś zajęty był jakąś zleconą robotą, któryś przeglądał katalog, inni trochę zaglądali do czasopism, trochę próżnowali, wkońcu zaczęli się mocować i przewracać, a Moja Maluczkość to śmiał się, to znów rozbrajał:

— No, dajcie no spokój.

Zwykle — bywało — uciszał podniesione głosy, gdy przyszli wcześniej:

— Cicho, dzieci, babcia śpi.

Ale tym razem była już godzina koło 4 czy 5 po południu i babcia-gospodyni, ani wnuczek jej już nie spali. Mogli więc malcy hałaśliwie się zachowywać.

Wreszcie Moja Maluczkość wiedziony jakąś myślą — wziął do ręki »Ustawy kółek ministrantów«:

— No spokój! Siadajcie! Posłuchajcie no!

Za mało było stołków, więc dwu siadło na łóżku. Inni dwaj tymczasem już pochwycili dwa inne egzemplarze Ustaw, a kiedy Moja Maluczkość zaczął mówić o Krucjacie Eucharystycznej i czytać wyjątki z ustaw, nagłe jakieś natchnienie ogarnęło Lolusia. Zaczął chodzić po pokoju i prawić o tem, jakto niedobrze dzieje się u nas, bo brakuje ministrantów, bo niektórzy źle się zachowują w zakrystji, czynią awantury i tylko ks Dziekana się boją, że jeden ze starszych uczniów szkoły powszechnej rozporządza się samowładnie i zapisuje jakieś kreski innym ministrantom, dzieli ich na wyższych i niższych...

— Jakto może być! W służbie Bożej przecie wszyscy są równi.

Inni początkowo słuchali spokojnie. Ale potem wmieszali się i uzupełniali wywody Lolusia, skarżąc się na owego F... który i t. d....

Badesiu dokonał nawet bohaterskiego czynu, bo samooskarżenia się że sam też broi, no ale i inni nie są święci, nawet Lolusiowi przyganił; zasadniczo zaś zgodził się na jego wywody. Inni też podobnie mówili.

— To trzeba koniecznie coś zrobić i zmienić! — rozumował Loluś. Najlepiej, żeby p. Profesor porozmawiał z ks. Dziekanem albo z ks. F., aby on zajął się ministrantami i założył kółko.

Moja Maluczkość złożył broszurkę. Z czytania już nic nie mogło być, ale trochę zaskoczony, a z zwrastającą radością słuchał tych wszystkich wywodów.

C. d. n.

„Tanecznica lasów".

Jednym z najbardziej ruchliwych mieszkańców lasu jest wiewiórka, którą zapewne każde z dzieci widziało jużto żywą, już wypchaną w gabinecie szkolnym. Ona to dzięki swej nieustannej ruchliwości nazywana jest często przez naszych przyrodników »tancerką lasów«. Niewiele jest zwierzątek równie zwinnych i miłych jak wiewiórka. Na pierwszy rzut oka wybija się u niej duży, puszysty ogon, który najczęściej podnosi z fantazją aż nad głowę, tworząc niebywale wdzięczny obrazek na tle gałęzi. W czasie snu służy on wiewiórce za okrycie przed chłodem.

Ciało wiewiórki, gibkie, małe zwinne łapki, wydłużony nieco pyszczek z ciekawie patrzącemi dokoła oczkami, na wierzchu głowy sterczące uszka z kitkami, — to wszystko, co tworzy harmonijną budowę »tancerki leśnej«. Okryta sierścią barwy czerwono-rdzawej, trudno jest dostrzegalna wśród gałęzi o korze podobnej barwy. Obecność swoją zdradza ciągłą ruchliwością, ustawicznem przeskakiwaniem z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo. Niestety, mimo swej zgrabności i powabu nie może być wiewiórka zaliczona do przyjaciół lasu, albowiem w razie braku orzechów, żołędzi, bukwi, szyszek i t. p., któremi przeważnie się żywi, ogryza pączki drzew, młodą korę, ostremi ząbkami odcina mnóstwo małych gałązek dla ścierania ustawicznie narastających zębów. Widzimy zatem, że szkody, jakie wiewiórka wyrządza są dość znaczne. Ale na tem jeszcze nie koniec. Czasem nie wystarczają jej orzechy i pączki drzew, wówczas wybiera ptakom jajka z gniazd, rozbija je i wypija, nie gardzi także i pisklętami.



Ryś z rodziny kotów, najdzikszy mieszkaniec naszych lasów.

Ma też wiewiórka wielu nieprzyjaciół wśród mieszkańców lasu, z których największym jest kuna leśna, równie zręczne jak wiewiórka zwierzątko. Jako zaletę wiewiórki należy podkreślić jej spryt w gromadzeniu zapasów zimowych, o czem chyba każde z dzieci już niejeden raz słyszało.

W jakim utworze największy nasz poeta nazwał wiewiórkę »tanecznicą gajów«? Kto wie?

Sk.

Czy już piszecie na konkurs?

Z pamiętnika kotka Znajdy.

(Dokończenie).

Najpierw przypatrywaliśmy się sobie, potem powąchaliśmy sobie noski, popróbowaliśmy łapkami, potem zaczęliśmy się szukać: przed lustrem, za lustrem, znów przed lustrem, znów za lustrem, a w żaden sposób nie mogliśmy się znaleźć, ciągle nas było tylko dwóch. Popatrzyliśmy się na siebie, pytając się wzrokiem, kto z nas głuptasków robi; wreszcie poszliśmy.

Ale te dobre czasy wnet się skończyły. Jednego razu starsza pani powiedziała:

— Co to chcecie kociarnię założyć? Nie dość było jednego, jeszcze trzeba drugiego? Jednego trzeba dać na służbę! Znajdkę zostawimy, boby się pani zapłakała, a Burasek pójdzie służyć.

Szkoda mi było przyjaciela, ale ogromnie się ucieszyłem, że zostanę przy mojej pani. I zostałem sam. Odwdzięczałem się pani, jak mogłem. Łasiłem się, nadstawiając grzbietu i ogonka, siadywałem na ramieniu, mrucząc, figlowałem z panią i robiłem przytem tak pocieszne ruchy i kocie miny, że pani nie mogła się naopowiadać o moich sztuczkach. Nazywała mię zawsze przystojnym kotkiem. Ja tam nie wiem, czy tak było. Mnie się zdawało, że jestem sobie ot takim, zwyczajnym kotkiem. Miałem białe futerko, czarne uszka, czarne pantofelki, czarny ogonek i czarne kwiatki po sobie, ot i wszystko. Skąd ja to wiem?... a z lusterka! Wolno mi było przyglądać się, ile chciałem, nawet mię pani do tego bardzo zachęcała, ale ja tego nie lubiłem, bo nie wiedziałem właściwie, czy to ja tam siebie widzę, czy to tam jaki inny kotek siedzi i chce się przedrzeźniać. A nie wiedziałem jak się o to pani spytać. Wreszcie sam przyszedłem do przekonania, że to chyba ja.

Tak upłynęły tygodnie i miesiące... Wyrosłem na dużego kotka i urządzałem dalsze przechadzki w celu łowczym.

Jednego razu, będąc w sąsiednim ogrodzie i upatrując ptaszki, usłyszałem strzał, coś mię uderzyło silnie, zrobiło mi się ciepło, zaćmiło w oczach, zsunąłem się na ziemię, lecz nie straciłem całkiem przytomności. Poczułem ogromny ból w plecach, coraz większy, nie do opisania, — zacząłem przeraźliwie i boleśnie miauczeć. Poschodzili się ludzie, stanęli za płotem i zaczęli lamentować, lecz nikt nie przychodził z pomocą. Wreszcie przyszła siostra mojej pani, zaczęła wymyślać na chłopca, który strzelił, wzięła mię na deskę i zaniosła do domu. Bóle nie ustawały. Mojej kochanej pani nie było, gdzieś pojechała. W takich boleściach upłynął tydzień. Nie mogłem się ruszać. Pani wlewała mi mleko do pyszczka. Po dwu tygodniach ból się zmniejszył, nabrałem apetytu, ale pół życia ze mnie uciekło. Stałem się smutny, słaby i nie wiem, czy jeszcze kiedy do sił przyjdę.

Jednem słowem stałem się nieużytecznym maruderem, mogącym co najwięcej opowiadać młodszym moje dzieje dla przestrogi tych kotków, a też i dzieci, które nie chcą rodziców i starszych słuchać i ich rady i przestrogi lekceważą.

Odpowiedzi Dzwoneczka.

J. Fr. Trybowski — wiersz twój „Serce Boże“ zamieszczony w Dzwoneczku tak się podobał, że przedrukował go „Mały Wychodźca”, pisemko wychodzące w Paryżu dla polskich dzieci. *K. J.* — liścik umieścimy w nast. numerze. *Niusia Dziewońska* — fotografję twoją umieścimy, przyczem pomyłka zostanie sprostowana. Czy podoba ci się książka „Józef ben Dawid?”